DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY

„DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"

Rok 1924 Nr. 5

STEFAN ŻEROMSKI.

„Cokolwiek się zdarzy — niech uderza we mnie"...

Na łóżku, oznaczonem liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdem poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: caries tuberculosa... Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz, z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował, aż oto, ni z tego, ni z owego, zabolała go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobieciną swoją w paradnym wasągu z półkoszkami, jak se poplakują oboje ze strachu i żałości i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tylu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniatała mogiłę. Przez tę mglę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości, — potem operację, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy, krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nie rozmyślań, jakie snuć uczy ta największa na ziemi mistrzyni wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa, nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlatywały się w jakiś kącik mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same nie na sen, lecz na bezwładność, napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto znikało wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokręga, jaki się tuż zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwęża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linji spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpić — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wyrywa mechanicznie ze swej próżni czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bose nogi, jałowcu suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopa skupiało się pod jej uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagle przesądy, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztracając się o gzemsy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tem, co przesuwało się przed jego oczyma. Lecz jakże się zmienił rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wyrastająca ze wstrętu, — teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapieżnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli. Co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wydała.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą...

I odszedł w towarzystwie asystentów. Od drzwi powrócił jeszcze na chwilę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieszczotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go z nienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo aż nastała w nim cisza nieznana.

Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedem zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmierzonego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiutkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niezgorzej przecie...

MICHALINA SZWARCÓWNA

Krzywoprzysięzca.

(Wspomnienie z czasów wojny.)

Pociąg biegł przez samotne pola. Zygmuntowi zdawało się jednak, że leci jak szalony, by prędzej niż zamierzał dobiec do celu. Mówił sobie, że cofnąć się już teraz nie może, choćby nawet chciał. Nie wstrzyma pociągu, nie wyskoczy oknem.

— „Musi się stać!" Z temi słowami huczał pociąg, zgrzytały koła, brzęczały szyby wagonu. Gorącemi z niepokoju i wewnętrznego drżenia oczyma patrzył Zygmunt przed siebie. Wszystka radość, którą wzniecił urlop otrzymany po dwuletnich prawie znojach wojennych, wszystka ukojona tęsknota widokiem najbliższych, zatraciła się w jego duszy do ostatniej kruszyny. A pociąg gnał. Przez tę cudną wiosnę, przez wsi leżące w złotych blaskach, otulone brzmieniem wielkanocnych dzwonów, rozśpiewane świątecznemi pieśniami. Zygmuntowi zdawało się chwilami, że śpi. Więc tu się nic nie zmieniło? Tam śmierć, świst kul — tu spokój, słońce? Więc wszystko wstaje pod mocnem nawoływaniem odradzającego się życia — a tam na polu walki — pole śmiertelnej ciszy? Czuł, jak jak wypełza coś z duszy nakształt pogardy czy niewiary i osiada na wargach jako uśmiech, który z naturą uśmiechu nie ma nic wspólnego. A równocześnie w mózgu pewność: To musi się stać — dziś! W tem koła przestały zgrzytać. Wstał jak lunatyk i wyszedł z wagonu na polu walki — pole śmiertelnej ciszy? Czuł, jak dalej rozhukany, gwarny, niefrasobliwy. Zygmunt stanął na drodze do miasta. Leżało ciche, puste, jakby snem ujęte. I Zygmunt począł iść ku niemu ociężałemi, drewnianemi nogami. Raz wraz uderzało go bowiem obuchem straszne pytanie: Jak ja im to powiem? Jak?

Kula słoneczna stoczyła się już na krawędź nieba i spinała je z ziemią jak spina cudną, wspaniałą broszę w bogate fałdy dolmanu. Oczyma, które rozszerzała trwoga i rozpamiętywanie patrzył w zachód wlokący się drogą młody porucznik. W taki sam zachód słoneczny konał na pobojowisku wbity poprostu na zasieki druciane druh jego najserdeczniejszy, Stanisław. Ta sama prawie była godzina. Trafiony śmiertelnie przeleżał tak długie godziny pod ogniem nieprzyjacielskim. Gdy Zygmunt odnalazł go po skończonej walce, ból tak straszny wykrzywił ohydnie rysy Stanisława, iż Zygmunt, choć przed chwilą w własną śmierć patrzył, zachwiał się zbielały jak trup. Ciało skręcone okrutnie, leżało ciężkie, zimne już. Zamiast brzucha, zionęła ku niemu jama, z której szrapnel wyżarł wnętrzności.

— Ten długo musiał konać, szepnął stary sanitarjusz, podnosząc ostrożnie ciało.

Zdjęli go z drutów na ziemi ułożyli. Otwarte, szklane oczy patrzyły w niebo z tak przerażającym wyrazem męki, że sanitarjusze choć przywykli do wszelkich okropności, zbledli i czemprędzej nakryli go płaszczem. Nad nim niebo roztaczało się jak cudna kopuła świątyni.

— Ten musiał długo konać! chwiał się jeszcze w powietrzu szept sanitarjusza. Zygmunt słyszał ciągle ten szept i teraz idąc pustą, cichą ulicą ku znanemu domostwu, drgnął nagle, gdyż z jakiegoś muru zdawało mu się, iż dolatują go najwyraźniejsze owe słowa. I wtedy znów najstraszliwsze z pytań uderzyło go w pierś: Jak ja im to powiem?

Pamięć zerwała się w nim jak wiatr halny targający drzewem wspomnień. Znał tu z lat dziecinnych jeszcze każdy lasek, każdą cegłę. Tu jako chłopcy bawili się razem, tu spędzali godziny całe na młodzieńczych dysputach. Dziś, tą samą drogą idzie, by spełnić najcięższy obowiązek człowieka, wobec człowieka. Coraz wolniejszy stawał się jego krok, choć wybrał najdłuższą drogę. Powietrze pełne było głosów, a po murach spływały ostatnie ukośne promienie jak posoka. Ulica stawała się szara, coraz węższa, bo domy zabiegały mu drogę nie chcąc go przepuścić? Czy nie spojrzała nań z tamtego okna twarz Stanisława? Czy nie jego to głos wołał nań po imieniu i jakby błagał: wróć się! wróć!

Zimny pot oblał go. „Nie pójdę! nie pójdę!" Krzyczał w duszy lęk. "Musisz!" rzucił rozum rozkaz. Twardy, nieodwołalny rozkaz. Więc oburącz, żelaznym uściskiem ujął swą wolę. Tuż zamajaczył dom rodziców Stanisława.

Na Boga! Dzwonek to rozbrzmiewa w całym domu — czy huk alarmu? Pani Olga wybiegła naprzeciw co tchu.

— Gdzie Stanisław? Mieliście przecież obaj... Niezdołała więcej wymówić. Za nią stał mąż.

— Sam przyjeżdżam, odezwał się Zygmunt, wsłuchując się mimowoli w swój głos którego nie poznał.

Ranny? rzuciła pani Olga. Zygmunt pochylił się jej aż do nóg. Rodzice spojrzeli po sobie. Pani Olga zbladła, opadła na krzesło, znów wstała, wargi rozchyliły się by rzec jakieś słowo lecz głos zamarł. Gdzieś, z dalszych pokojów dolatywał tykot zegara. Zdawało się na pozór, że wszyscy wsłuchują się w ów tykot. Mąż pochylił się nad nią. Trwoga męcząca ich miesiącami stała się ciałem.

— Wiem już wszystko, wyjąkała bez głosu. Dłonie małżonków splotły się silniej, jakby szukając wzajemnie ratunku — Zygmunt patrzył na nich ogłuszony, z odrobiną ulgi jednocześnie i zdziwienia, że poszło lżej niż sobie wyobrażał. Nagle pani Olga podniosła głowę.

— Czy byłeś z nim razem cały czas?

— Tak. On panią tak kochał. Cieszył się, iż święta spędzimy razem.

— Czy ciężko był ranny? Czy cierpiał długo? Mów, mów mi wszystko o nim, błagała czepiając się go rękami. Zygmunt uczuł, że wszystka krew spływa mu do serca. Lecz ujął spokojnie dłonie matki.

— Umierał cudnie. Noc była pogodna i, mówiliśmy o pani, o was. Był wesoły, żartował i mówił, że niespodziewanie przyjedzie, by tem większą sprawić wam radość. W czasie rozmowy wychylił się nieostrożnie. Wtem dosięgła go jakaś zbłąkana kula. Nie miał czasu nawet krzyknąć. Nie mógł nawet drgnąć powieką. Opadł jak śpiący, opadł z tym samym uśmiechem, z którym mówił o was.

Pani Olga patrzyła w porucznika jak w obraz a on czuł, że korzenie włosów zaczynają go palić. Rodzice spojrzeli sobie jednocześnie w oczy.

— To jedno przynajmniej, że tak bez cierpień, że od razu... Zygmunt siedział blady, czując, że chwila jeszcze a zemdleje. Ale wtedy tym instynktem miłującego serca, tem najczujniejszem matczynem spojrzeniem pani Olga ogarnęła go nagle i zmarszczyła brwi.

— Czy tak było doprawdy? Czy ty tylko dla mnie... czy ty... Urwała, dysząc. Oczy ojca wbiły się również w Zygmunta jak bagnety, oczy, które rozkazywały i prosiły, oczy — szpiegi, oczy — oprawce wisiały nad nim, czatowały na każde drgnienie, na każdy cień na twarzy.

Pani droga, wyszeptał porucznik.

Pani Olga pochyliła się ku niemu i ściskając kurczowo jego rękę spytała z całem okrucieństwem oszalałego, macierzyńskiego serca: Jeśli chcesz mnie uspokoić, — powiedz, czy ty... pragnąłbyś tak umrzeć?

Mróz wszedł w żyły oficera. Ze szczytu czaszki poczęło się zsuwać zdrętwienie. Ale uśmiechnął się ostatkiem sił.

— Tak, odpowiedział patrząc prosto w oczy matki a jej zdawało się, że patrzy na samo ich dno. Tak, chciałbym tak umrzeć.

— Przysięgnij!

Serce rzuciło się gwałtownie i zamarło. Płomień w oczach a zaraz potem piwnicza ciemność.

— Przysięgam!

Uczuł na czole czyjeś łzy. Usłyszał szept w szlochu: dziękuję ci! Potem pani Olga słaniając się — wyszła.

Nie słyszała wcale, jak za chwilę w tamtym pokoju runął ktoś na ręce jej męża.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Nie wydrzecie!

Myśmy prawie wrośli w ziemię
Od lemiesza do pałasza!
Wszystko szczęście, wszystko brzemię,
To ta polska ziemia nasza!
Ona matką od zarania,
Ona zbroją przez stulecie —
I dziś tego ukochania
Nawet z życiem nie wydrzecie!...

Myśmy wszyscy z Piasta sochy
Szli tą ziemią, krwią i potem!
Nam te skiby, szare prochy
Ponad zorze tkane złotem!
Nam w tych prochach: chleb... piosenki...
Przeszłe... przyszłe... starzec... dziecię!...
I tych prochów z naszej ręki
Po wiek wieków nie wydrzecie!

Nam w tych prochach... wszystkie echa
Wszystkie barwy, wszystkie tony!
Stary hetman się uśmiecha...
Zygmuntowskie biją dzwony!
Kościuszkowska świtka biała...
Książę-junak na dzianecie!
Blaski... chmury... bóle... chwała!
Nie wydrzecie! nie wydrzecie!

Nam w tych prochach... dziadów kości!
I mogiła przy mogile!
I sto tęczy z dni wolności!
I łez tyle i łez tyle!
„Dąbrowskiego" gra pobudka...
Kosa czwartak przy bagnecie...
I powstańcza cicha grudka...
Nie wydrzecie! nie wydrzecie!

Nie wydrzecie z serc i dłoni!
Jak ta ziemia wszerz i długa!
Póki jeden pacierz dzwoni!
Póki jeden chłop u pługa!
Póki jedna polska matka!
Póki jedno polskie dziecię!
Bronić będziem do ostatka...
Nie wydrzecie! nie wydrzecie!

Fizyczna struktura Polski.

Polska nie jest krajem pod względem fizycznym jednolitym, w takim sensie, jak np. Holandja — nizina deltowa, Norwegja — góry, a nawet Rosja europejska — rozległa równina. Jest więc krajem pod względem swej fizycznej natury różnorodnym. Rozpada się na części. Są niemi krainy geograficzne Polski, owe przyrodzone wielkie człony głównej podstawy organizmu państwowego, jaką jest jego terytorjum. Ile jest tych krain? Z dalekiego horyzontu patrząc na Polskę, byłoby się skłonnym rozróżnić w Polsce dwie wybitne różne dziedziny: system górski Karpat na południu i obniżającą się ku Bałtykowi płaszczyznę na północy. Ów rzekomo dwoisty charakter znalazł swój wyraz w niezbyt szczęśliwym podziale Polski na Karpaty i na Polskę niżową. Po bliższem zbadaniu jednak okazuje się potrzeba dalszego podziału. Rozróżnia się więc w Polsce: góry, wyżyny i niziny i ten trójdźwięk uznać należy za charakterystyczny wyraz oblicza Polski.

Wprawdzie krainy nasze należą przeważnie do nizinnych, ale mimo to monotonnemi w swym widoku nie są. Krajobraz ich jest niekiedy bardzo urozmaicony.

Ma więc polskie wybrzeże morskie swoje wspaniałe urwiska, usypiska i zalewy, mają krainy pojezierne prawdziwe krajobrazowe perły w swych rozlicznych jeziorach i otaczających je wokoło wyniosłych wałach morenowych. Tajemniczy urok krain mało znanych, „przepaścistych", wywierają zawsze na nas krainy błot, bezmiernych piaszczysk, nawet lasów. Faliste, pagórkami i dolinkami zaledwie tu i ówdzie poprzerywane, są rozległe przestrzenie naszych środkowych nizin. Ale i tu nadzwyczajne urozmaicenie krajobrazowe wprowadzają szerokie, głęboko wcięte, stromemi opatrzone brzegami, pradoliny rzeczne.

Niespodziewanym jest mimo wszystko widok gór średnich polskich, spowitych niekiedy pradawną szatą leśną lub odsłoniętych i świecących zdala nagością swych rozlicznych skał. A jak urozmaica krajobraz zachodnich naszych wyżyn grzbiet jurajski, biegnący od Krakowa na północ? Dziwnym, prawie górskim, jest widok północnej krawędzi Podola, a potężne wrażenie na każdego sprawiają oglądane z góry głębokie jary podolskich rzek.

Skromne podgórza Karpat, o krajobrazie raczej polnym niż górskim, niczem nie zdradzają wysokogórskich przecudnych widoków i tajemnic, które w sobie kryją daleko odsunięte na południe Tatry, lub nawet skromniejsze od nich i bardziej proste w budowie i formie Beskidy Wschodnie.

Piękne są nasze ziemie ojczyste. Piękne, nietylko swoistością barw i form, ale piękne nadewszystko tajemniczością zjawisk przyrodzonych, które w sobie kryją, i urokiem dziejów, który je zewsząd otacza.

Polska posiada nader szczęśliwy układ sieci rzecznej. Brak wyraźnych działów wodnych stwarza dużo możliwych połączeń zapomocą kanałów. Rzeki w Polsce zbliżają się do siebie w ten sposób, że Odra zbliża się Wartą i Notecią do Wisły, a Wisła Sanem, Bugiem i Narwią do Dniestru, Prypeci i do Niemna. Szczególnie jednak znaczenie z pośród rzek polskich ma Wisła. Hydrograficzna rola Wisły da się określić, jak następuje. Wisła zajmuje swem dorzeczem około 200 000 km², czyli przeszło połowę powierzchni Polski, ma zaś przeszło 1 000 km długi brzeg. Dorzecze Wisły schodzi się w znacznej części z obszarem etnograficznym polskim, tak że Wisła ogarnia swojemi dopływami i łączy prawie wszystkie ważniejsze krainy polskie. Leży także prawie w środku Polski. Wisła stwarza dla tych krain naturalny spadek wód, a przez to wyznacza niejako kierunek wszelkim ruchom innym, — ku północy, ku Bałtykowi. Wisła jest ostatnią w Europie rzeką, której dorzecze sięga od gór do morza. Poza Wisłą następuje już takie rozszerzenie kontynentu, że pokrywa ono w całości rozległe międzymorze bałtycko-czarnomorskie, na którem rozsiadły się już dwie wielkie rzeki, a to Dźwina z jednej a potężny Dniepr z drugiej strony. Wobec tego rozszerzenia się równin ku wschodowi, Wisła dotyka od wschodu swem dorzeczem aż trzech innych dorzeczy, podczas gdy od zachodu tylko jednego. Wisła jest największą rzeką zlewiska morza Bałtyckiego. Dopływami swemi sięga (Dunajec i Poprad) aż poza Beskidy i otacza Tatry od południowego wschodu.

Uregulowanie Wisły i połączenie jej zapomocą kanałów z sąsiedniemi rzekami, uczyni z Polski kraj o bardzo korzystnie rozbudowanej sieci dróg wodnych. Wystarczy powiedzieć, że możliwych jest aż 5 połączeń Wisły z Odrą. Nadto można przeprowadzić po jednem połączeniu Wisły z Niemnem, Prypecią i Dniestrem, a wreszcie Wisły, zapomocą jezior Mazurskich, z Pregołą.

Rzeki odegrały w historji Polski rolę niezwykłą. Szły bowiem niemi nietylko ważne drogi handlowe, ale prowadziły wzdłuż rzek szlaki osadnicze (np. Dunajcem i Popradem poza Beskid) i wpływy polityczne (wzdłuż Dniestru na Ruś, wzdłuż Niemna na Litwę). Rzeki i wogóle drogi wodne zdołają jeszcze kiedyś wywrzeć, gdy zostaną uregulowane, wielki wpływ na gospodarczy rozwój młodego państwa polskiego, jako drogi odciągające część ruchu od zbytnio obciążonych a jeszcze nierozbudowanych kolei.

Coprawda, nie należy zamykać oczu na opłakany stan regulacji rzek naszych, stan, wywołany niedołężną lub niechętną nam gospodarką rządów zaborczych. Niemniej dają się żegludze we znaki przeszkody komunikacyjne naturalne, jakiemi są przy niektórych rzekach liczne zakręty rzek (środkowy Niemen, Dniestr), lub progi w ich korytach (Dniepr i Dniestr, Dźwina i rzeki karpackie), potem brak wody, spowodowany w naszych górach głównie wycięciem lasów. Do ważnych przeszkód komunikacyjnych, a tem samem czynników rozdzielających, należą także bagna i piaszczyska w Polsce. Bagna pozostają w związku z brakiem regulacji rzek i meljoracji kraju. Największe z nich Poleskie wymagają koniecznie osuszenia, aby się stały krainą pól i dróg. Pozatem czekają osuszenia bagna nad Narwią i Bugiem, oraz nad górnym Dniestrem. Przeszkody, jakie stwarzały i stwarzają owe bagna, były i są daleko trudniejsze do pokonania, aniżeli inne przeszkody, nie wyłączając naszych gór. Ruch komunikacyjny, omijając wielkie błota, koncentrował się w miejscach suchszych. Wyrosło stąd wielkie znaczenie niektórych suchszych przejść między błotami (np. trójkątny półwysep Zagrodzie, wciskający się w Polesie).

Rzeki polskie bywały granicami państwa polskiego (Dniepr, Dźwina, Dniestr), ale z reguły nie dzieliły kraju wewnątrz i nie tworzyły granic czy dawnych księstw piastowskich czy późniejszych województw. Do wyjątków należy Pilica, która oddzielała woj. Sandomierskie i Małopolskę od województw sąsiednich. Dopiero granice podziałowe szukały, jako linje strategiczne, oparcia o rzeki (górna Wisła, Bug, Zbrucz). Nowy podział administracyjny Polski, mając za podstawę granice zaborcze, nie powrócił do dawnych granic wojewódzkich, lecz oparł się o rzeki (Wisła, Bug, Pilica, Prosna, Przemsza, Biała).

Klimat ziem polskich, rozważany z punktu widzenia świata zwierzęcego i roślinnego a przedewszystkiem człowieka, gospodarzącego na owych ziemiach, posiada mimo wszystko duże zalety. Umożliwia przedewszystkiem pracę człowiekowi na bardzo rozległej przestrzeni. Z wyjątkiem bowiem karpackich wzniesień (ponad 800 do 1000 m) w żadnej polskiej krainie nie może być ze względów klimatycznych powstrzymana działalność ludzka. Codzienna praca ludzka, działalność organizacyjna człowieka, może się odbywać prawie bez przerwy.

Warunki klimatyczne sprzyjają pod każdym względem rozwojowi kulturalnego życia narodu. Wspaniale udają się u nas mieszane lasy różnych typów, tak charakterystyczne dla Polski, pełne doskonałych gatunków drzew, dostarczających drewna na opał i budulec. Poza tem nie brak lasów czystych, liściastych (dębiny, buczyny, grabiny) czy szpilkowych (bory sosnowe, świerczyny, jedliny), olszyn i t. p. zbiorowisk drzewnych. Wreszcie bogata jest nasza flora w trawy, które wśród rodzin roślin kwiatowych, jakie posiada Polska, postawić należy na drugiem miejscu co do ilości form. Wielkim jest udział traw w naszych formacjach stepowych, czyto na stepie Czarnomorskim, czyto na stepie podolsko-wołyńskim, czy wreszcie na stepie Sandomierskim, albo w pewnych skupieniach nad dolną Wisłą.

W związku z tem należy wymienić nasze łąki zwykłe i górskie, pełne różnych gatunków traw. W warunkach, w których udaje się tyle gatunków traw zwykłych, nie dziw, że doskonale udają się trawy kulturalne. To też łany zbóż należą do nieodłącznych cech naszych krajobrazów polnych. Kultura rolna i hodowlana znajduje podstawę właśnie w bogactwie Polski w trawy zwykłe i uprawne.

Kroniki nasze pełno zawierają przykładów, jak znane zjawiska klimatyczne wpływały na życie polityczne narodu. Czytamy tam więc, jakie istniały trudności w przeprawach przez nasze wielkie, zwłaszcza wezbrane rzeki, jak rzeki te były nieraz obroną dla naszego czy nieprzyjacielskiego wojska, jak to długa pora deszczowa lub ostra zima powstrzymywały zapędy i działania wojenne, jak wreszcie góry nasze, acz niewysokie, stanowiły znakomitą obronę dla słabych sił polskich.

Także rozliczne błota w Polsce mają swą ciekawą kartę w historji polskiej. Błota nadnoteckie oddzielały Polskę od Pomorza, błota nad Narwią i Prypecią stanowiły nawet w czasie wielkiej wojny obszary bardzo trudne do przebycia. Błotnistych terenów unikała zawsze w swoich ruchach ciężka polska konnica.

Osobną rolę w historji naszego narodu odegrały lasy. Wielkie lasy polskie powstrzymywały zawsze nieprzyjaciół, zwłaszcza gdy zaopatrzone były w zasieki. Lasami, które znała tylko ludność miejscowa, obchodzono nieprzyjaciela i zajmowano mu tyły. Lasy były prawie jedynym terenem ostatnich naszych walk powstańczych. W nich leżą mogiły poległych, lasami przedzierano się nielegalnie z jednej dzielnicy w drugą. Las pozostał na długo wiernym Polsce..., aż znikać powoli zaczął.

Lecz gdy las krył i osłaniał, to step polski jak morze kształcił charaktery, wyrabiał odwagę, stwarzał wodzów i rycerzy-zagończyków, wreszcie wyrabiał rolników i hodowców polskich. Step budził równocześnie poczucie swobody i wolności — nieraz nierządnej i wrogiej polskiej idei państwowej. Poczucie swobody i wolności stwarzały również góry. Przejawiło się to tak w Karpatach jak i w Łysogórach, nietylko w zbójnictwie, ale przedewszystkiem w gorącem przywiązaniu ludności do ubogich z przyrodzenia krain.

Błota, jeziora rzeki nasze i góry, a nawet morze wpłynęły również na pewne odrębności zajęć i sposobu życia. Znamy Poleszuków — ludzi błot, Mazurów pruskich — ludzi jezior, Kurpi — ludzi lasów, flisaków i rybaków, ludzi z nad Wisły. Także polskie morze stworzyło swój typ — Kaszuby, rybaka i żeglarza, typ nieliczny, ale zahartowany w walce z morzem i życiem, żyjący prawie wyłącznie z morza.

Miłość ziemi rodzinnej.

Pewien młody mieszkaniec puszcz amerykańskich dostał się do stolicy Francji. Jak w czasie całej podróży, tak i w ciągu kilkotygodniowego pobytu w Paryżu pamięć o ziemi rodzinnej zaprzątała wszystkie jego myśli, a rodzący się stąd smutek ogarniał jego duszę do tego stopnia, że ani wspaniałe gmachy, ani piękne wystawy sklepowe nie zdołały zająć jego uwagi, ani umysłu rozerwać.

Pewnego dnia zaprowadzono go do ogrodu botanicznego. Kiedy wszyscy inni zachwycali się przepysznemi kwiatami, wodotryskami, prostemi alejami drzew, wzrok jego padał obojętnie na te przedmioty; nie miały one dla niego żadnego uroku, bo niebyło pomiędzy niemi szumiących potoków, bujnych trawników ani gęstych lasów, jakie zostawił w ojczyźnie. Naraz zajaśniały biednemu wygnańcowi oczy: z okrzykiem radości biegnie ku drzewu, z uniesieniem je obejmuje i łzy radości spływają mu po twarzy. Takie same liście, jakie ocieniały dach jego chaty rodzinnej, rozbudziły w nim na nowo wszystkie wspomnienia ojczyzny; przez chwilę zdawało mu się, że ją widzi i czuł się szczęśliwym.

Lecz błogie to złudzenie wnet ustąpiło smutnej rzeczywistości; oczy jego poznały kraj obcy i znowu czuł się osamotniony, jak owo drzewo w ogrodzie botanicznym, które mu chwilę szczęścia sprawiło.

Jak się robi igła?

Ile to potrzeba pracy, zanim z kawałka stali zrobi się maleńka igła!

Najpierw ze sztaby stalowej trzeba zrobić drut. W tym celu przeciągają tę sztabę kolejno przez grube blachy z coraz i coraz mniejszym otworem. Przeszedłszy przez pierwszą blachę, sztaba staje się już cieńszą, a dłuższą; przechodząc przez otwór w drugiej blasze, który jest jeszcze mniejszy, sztaba znowu staje się cieńszą; i tak dalej, dopóki z grubego kawałka stali nie zrobi się długi a cienki drut. To się nazywa wyciąganie drutu.

Drut nawija się na bębenki drewniane, podobne do tych szpulek, na których okręcone są nici, lecz znacznie większe.

Wtedy robotnik rozcina bębenek z drutem na dwie połowy wzdłuż i w ten sposób otrzymuje dwa pęczki drutu.

Potem każdy z tych pęczków niosą do osobnej maszyny, która kraje je nożycami na kawałki długości dwoch igieł.

Następnie kawałki te przechodzą do innej maszyny, która je prostuje. W tym celu wiążą je w paczki, mające po pięć do sześciu tysięcy sztuk drutu, i mocno ściskają je maszyną.

Po wyprostowaniu kawałek przechodzi do szlifierza, który zaostrza go na dwóch końcach.

Później, uderzając młoteczkiem, spłaszczają każdy kawałek na samym środku, a następnie robią w miejscu spłaszczonem dwie dziurki na uszka.

Następnie przecinają każdy kawałek na dwie części i otrzymują z niego dwie igły — każdą z uszkiem i ostrzem.

Na tem nie koniec jeszcze. Trzeba igły zahartować, żeby były mocne. Zanoszą je więc do osobnego pieca, ogrzewają tam, a następnie je ostudzają.

Ale uszko igły jest jeszcze chropowate, nieładne. Inny więc robotnik bierze igłę i robi mały brzeżek, otaczający uszko i ułatwiający włożenie nitki.

Potem igły jeszcze raz hartują, rozgrzewają do czerwoności i zanurzają raptem w zimną wodę. Dalej wygładzają igły, czerając je delikatnie proszkiem z kamienia, zwanego szmerglem. W końcu obcierają je, czyszczą, dobierają tuzinami podług grubości, wkładają w numerowane paczki — i dopiero rozwożą na sprzedaż.

Przy tych robotach jedna igła przejść musi przez ręce kilkunastu robotników. Wyrabiają ich zaś takie mnóstwo, że w niektórych fabrykach angielskich sto miljonów sztuk igieł gotowych na tydzień wychodzi.